№ 15.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1847. Poznań, dnia 26. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedplata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Konik Zwierzyniecki.

POWIEŚĆ I OBRAZ

przez *Sierpińskiego.*

(Ciąg dalszy.)

III.

W pałacu na ganku ksiądz biskup i pan hetman społem siedzą, a przy nich jeszcze pan Bonar; wszyscy patrzą ku bramie, i wraz z ludem się radują — bo wtedy pan nie gardził zabawą gminną.... Za nimi tłumno i dwornie służba — a przy hetmanie Orzechowski, za biskupem Pudłowski, i ci choć uczone męże i wyższe nad wiek swój, ochotnie patrzą jak konik w podskokach zbliża się do progu ganka.

Na trzy kroki przed gankiem konik stanął, uchyliwszy buławy, niby Tatarzyn po brodzie się musnąwszy, zawołał:

— J. O. ksże biskupie i J. O. panie hetmanie koronny i ty J. W. stolniku! dziś na pamiątkę owego sławnego porażenia Tatarów, co miało miejsce w r. 1240., w którym to miasto od srogiéj klęski ocalone zostało, obchodzim święto konika, na którego ja krewny po matce owego Janka, który się w owéj potrzebie tak dobrze znalazł, jako następca z cechu włóczków wybrany zostałem. Przychodzę tedy J. O. panom miłościwym złożyć pokorne służby moje przy objeździe tego miasta, co dla tego się czyni, aby miasto to pamiętało, jakie wielkie nad niém miłosierdzie Boga, ocaliwszy, ongi od takiego niebezpieczeństwa i dając mu pasterze i rządzce takie jak Miłościwi J. O. panowie.

Na te słowa odrzekł biskup dziękując, i zawołał na pazia w czerwonym aksamicie ze złotem, co stał obok niego, aby puchary przyniósł. A nim wino przynieśli, biskup zapytał:

— Jak miano waszmości, panie koniku?

— Jan Łopucha, proszę księdza biskupa.

A Jan Tarnowski: — a ileż lat ci liczą?

— 72 z górą, J. O. panie hetmanie.

— To nie wiele nam obu się należy, bo i mnie minęło 70.

— Życie nasze w woli Boga; — rzekł biskup — na co śmiercią mroczyć wesele?

I kazał podczaszemu z długiéj flaszki srebrnéj nalać w srebrny kubek wina, co jak krople złotéj rosy z naczynia padało — wziął z tacy złocistéj i zawołał:

— Niech żyje król Jegomość! za pomyślność miasta Krakowa!

I poczciwy stary biskup wychylił duszkiem, a wszyscy obecni odkrywszy głowy, wołali wiwat! a chorągiew karmazynowa i proporczyki z nią będące chwiały się ku ziemi na cześć, to znów jak stado ptaków wiały do góry, jakby z głosem i życzeniem chciały się wznieść do nieba.

Wziął konik puhar i zawołał:

— Za zdrowie J. O. ks. biskupa, J. O. p. hetmana koronnego! — niech żyje król Zygmunt August! — Wypił duszkiem i oddał krajczemu; a lud głośno wołał:

— Niech żyje biskup! niech żyje hetman!

Dwaj mężowie schyleniem głowy dziękowali za te szczere oznaki czci i miłości, a gdy się gwar uciszył,

wziął Jan Tarnowski kubek srebrny napełniony winem, podniósł i rzekł:

— Teraz za zdrowie p. Jana Łopuchy i szlachetnego cechu włóczków!... a waszmości proszę zachować ten kubek na pamiątkę. — Tu wypił, kubek napełnił pieniędzmi i oddał. — Konik na te wszystkie słowa stał z schyloną głową, a gdy hetman kielich mu podał, wziąwszy, schował w kieszeń kaftana, schylił się znowu, skoczył, i zaczął około dziedzińca harcować, a lud ciągle wołał:

— Górą konik! — niech żyje biskup! — wiwat hetman!

A w ganku biskup z hetmanem stoją, bratnią złączeni dłonią, za nimi służba. — Hetman wskazując na konika, który właśnie wówczas z bramy wyjeżdżał, rzekł do Orzechowskiego:

— Panie Janie! wartoby tę uroczystość opisać?

— Jaśnie wielmożny panie! jeżeli mnie co ważniejszego nie zajdzie, stanie się waszéj woli zadość.

— A ja rzekł Melchior Pudłowski, jeźli się nie znajdzie jakie ważne epitalamium lub epitafium, odą podam go do potomności — boć miłościwego pana bytnością uświetniony.

I nie podali go, bo śmierć Jana Tarnowskiego dała do opisania jednemu pogrzeb i żywot, drugiemu łacińską elegią*). Jan Tarnowski wiedział co to są zabawy ludu, znał ich ważność i świętość.

Taki był konik w 1560. r. Co za początek podanie mu nadaje, nie wdzierając się w historyą, opowiem.

Konik Zwierzyniecki.

ROK 1281.

I.

Wielkim już był wtedy Kraków..... Rozciągnął się ponad Wisłą jako pastuch na słońcu, wkoło okryty lasami jak futrem na zimę; świecił zdala kopułami kościołów, a dolatywał uszu dźwiękiem dzwonów, co choć nielicznie jeszcze, niekiedy odzywały i szeptały światu, że od 250 lat Kraków jest chrześciańskim. Przedmieścia jego jak nogi potwornego robaka rozeszły się w tę lub ową stronę, samo ciało pokryte murem i wałem jak pancerzem. Na murach, na wałach lud zbrojny się gromadzi — stawiają kusze, próbują łuków, a wszystkie bramy jeszcze otwarte, przez bramy lud mnogi się ciśnie, zalega ulice, do domów się wdziera, kościoły napełnia. W kościołach strzelisto gorąca kapłana modlitwa wzbija się do Boga. Kapłana modlitwie wtoruje lud tłumnie zebrany; a coraz z kościoła wychodzi obrońca i na mury spieszy, aż wreszcie w kościele pozostały tylko kobiety, starce i dzieci.

W ratuszu krakowskim tłumnie zebrali się panowie rajcy; stół czarny obsiedli, ręce założyli i radzą jak miasto od zguby ocalić — miasto, co na ich głowę swą całość złożyło, a z miastem i siebie: — z rajców najstarszy donośnie zawołał:

— Dwóch wrogów mamy: Tatarzyna, co sioła nasze podpala i wkrótce na gród uderzy, a wewnątrz głód pewny — za nim zaraza.

Straszne to są słowa, bo to wyrok śmierci, a śmierci niechybnéj w ciężkiém konaniu. Słów tych każdy się spodziewał, przeczuwał; a jednak zadrzeli słysząc je, bo znikąd nadziei, tylko od Boga. I głowy siwe na pierś opadły, i łza wielka zabiegła źrenicę; o sobie nie myśleli, każdy miał miłych, o których się lękał i trwożył. W tém słychać łoskot w podwojach i wpadł zbrojny krwią i kurzawą okryty:

— Tatarzy już palą Balice! wszystkich wycięto... ja jeden. — Nagle upadł i skonał; tatarska strzała w piersiach mu tkwiała głęboko. Za nim wpadł drugi i głośno zawołał:

— W Mogile Tatarzy część ludu wysiekli, resztę na sznurach prowadzą, zaledwo nas kilku pogoni ubiegło!.... Liczna ich horda jak las się posuwa, straszliwe jak wilki wściekłe, nic im się nie oprze, snać czartowskiemi walczą siłami.

A to usłyszawszy rajcy, ku murom biegną, bramę zamykają, każą bronę zapuścić, choć z przedmieść ludzie jeszcze nie wszyscy w miasto się schronili — i napróżno proszą, dla niewielu miasta na sztych nie wystawią, a ci nieszczęśliwi pod bramą siadają, bo zda im się, że tam śmierć lżéjsza. Na mury znoszą to kłody sękate, to wielkie kamienie, to warzą oléj lub smołę, a hałas wszędy i przygotowanie do bitwy. Ten o mur ostrzy koniec rohatyny, ten łuku próbuje, ów miecz waży w dłoni. W basztach się zbierają ci, co zabitych mają zastąpić.

Po murach chodzi ksiądz w ornaty odziany, do waleczności zachęca, nagrodę obiecuje, a w jego słowach, w jego spojrzeniu każdy czerpie odwagę. Aż nagle szum ustał na całym obrębie miastowych murów, jakby pomarli ci, co ich bronić mieli. — Nie, nie pomarli oni, lecz się dobrze umrzeć gotują, i każdy w tém miejscu gdzie miał zginąć klęka i w piersi się bije, Panu się modli i siebie i swoich poleca — gorąco — nabożnie!....

Już to drugi raz Tatar rozpuścił zagony, już drugi raz miał uderzyć na Kraków; mieszkańcy już się z nim poznali, nie opuścili miasta, nie stracili głowy, a po-

*) Orzechowskiego: Żywot Jana Tarnowskiego wszystkim znany; Pudłowski, poeta, napisał elegią na śmierć tegoż. Więcéj o ostatnim patrz u Bentkowskiego.

stanowili za murem bronić siebie i swoich. — Już to nie było tak, jak po porażce Szydłowieckiéj, kiedy to jeden tylko kościołek Świętego Andrzeja mógł się oprzeć ich nawałowi; Wrocław i Ołomuniec pokazały, że lepiéj za murem można się oprzeć Batejowym hordom, aniżeli rozbiegać się po lasach. — A tak w Krakowie z ufnością i poddaniem się Bogu, czekano rychło zaleci okropne Allah hu! — rychło zaświszczą tatarskie strzały, rychło zabłysną rzucone ognie.

II.

Na Rybakach pod Krakowem, za Wisłą, w niskiéj i ciemnéj chacie, co przez łubiane okienka ledwie słaby promień światło przepuszcza, na łożu prostém i twardém leżał Jan Lis, najstarszy, najbogatszy i najznamienitszy z włóczków krakowskich. Zeszedł świat Boży wzdłuż i wszerz (mawiali ludzie), widział żółte piaski Mazowsza, bywał het za morzem, w Gdańsku gdzie pono pieprz rośnie, bo go ztamtąd przywiózł na pokazankę, i daléj jeszcze — póki żonki nie miał — w jakichś ziemiach, co to pewnie na końcu świata leżą. — Przywiózł téż cudnych rzeczy i bogatych, tak, żeby mógł i domostwo piękne wystroić, i odziać się pyszniéj jak wszyscy, ale on nie chce stać wyżéj nad braci. — Kiedyś bogactwa oddawał po kościołach, późniéj chował je dla swojéj Marysi, co po śmierci żony sama mu jedynaczką została, i już od niéj się nie oddalał, tylko zawsze przy niéj, zawsze z nią.

Marynie było lat 17. Od lat dwóch Jan Lis szukał dla niéj męża, bo czuł, że dziewczynie może się przykrzy przy starym ojcu. Wielu chłopaków stawiało się napróżno, wszystkim dawał odkosza, bo nie dość byli zamożni, a on swoję Marysię chciał widzieć szczęśliwą i dostatnią w chudobie. Ostatni o nią prosił Janek, chłopak, któremu równego nie ma na całém Nadwiślu — on jeden zepchnie ręką prom krzywy do wody, burzy się nie ulęknie, pod zamkiem sześć razy wciąż Wisłę przepłynie, w tańcu nikt go nie przesadzi, w kłótni nikomu nie ustąpi, w karczmie przy szklenicy pierwszy, a ręką niedźwiedzia powali; nikt mu też w drogę zajść nie śmie. — Zobaczył Marysię: — na sercu mu dziwnie, zadumał, pomyślał, jakie to szczęście, mieć ją zawsze przy sobie, i ojcu się skłonił i o małżeństwo prosił. I Marysia rada go widziała, a gdy przędła na kołowrotku, lub śpiewała piosnkę, co tęskną zwrotką wabi ucho nasze, marzyła o Janku, ale nikt o tém nie wiedział, bo mówić dziewczynie o dzielnym młodzieńcu co na męża patrzał, nie godzi się, nie wolno. Jeden tylko rodzic wie co się to znaczy, ale wolałby nie wiedzieć.

Napróżno łzami oko rosiła córka, napróżno skłaniała się do kolan i wypraszała od innego zamęźcia; ojciec zaprzysiągł córki za Janka nie dawać. Ojciec zaprzysiągł dać ją bogatemu, staremu Zarębie. Ale niemoc sroga powaliła go na łoże, niedziel kilka już na niém jęczy; aż tu zasłyszał o przyjściu Tatarów, srogie myśli po głowie mu chodzą, serce mu krają. On wybieżyć niezdolny, koło nich już nikogo, wszystko do Krakowa uciekło, a oni sami w domu zostali, i nikt w razie nieszczęścia nie myślał dać pomocy Janowi Lisowi, ani córce jego.

— Nie długie mi już życie, i tak nie mogę szkutą dość silnie kierować — czy dzisiaj, czy późniéj, czy pod nożem, czy w chorobie, to jedno, ale ta dziewczyna co sama pocznie!.... (i ręce załamał) — o Boże! o Panie! zlituj się nad nami!

— Marynko, czyż nie ma nikogo z sąsiadów?

— Nikogo mój ojcze, wszystko pustką stoi oprócz naszéj chaty.

— I tak mnie opuścić, na łup wydać, gdy uratować można było!.... Marynko, co widać na dworcu krakowskim?

— Na dworcu krakowskim chorągiew powiewa jak wstęga, na murach staliste błyszczą zbroice, widać na ciężką gotuje się potrzebę, bo na murach pełno żołnierzy.

— A niktże nie idzie ścieżką do miasta?

— Nikogo nie widzę, pusto dokoła.

— Oj srodze nas dzisiaj Pan Bóg nasz nawiedził i karze za grzechy wszelakie! O mnie rzecz mała, ale ty moja córko!.... Droga do miasta wolna być musi, ja już sam nie mogę, ale ty uciekaj; to złoto zakopiesz przy wierzbie w ogrodzie, i te drogie sprzęty..... Wiem, że nieulękniesz się rydla, aby gdy wrócisz, gdy Bóg cię ocali, a ojca już swego nie znajdziesz, ażebyś nie potrzebowała żebrać litości.

Dziewcze rzewnie płakało. — Mój ojcze, pozwólcie, niech ja tu zostanę.... przy was; kto wam co poda, gdy mnie tu nie będzie? — Co mnie żyć na świecie, gdy was nie będzie? — ja się zostanę, ja mam nadzieję, że Bóg nas nie opuści!... Tatarzy może nie znajdą, znalazłszy, ulitują się i nie zabiją.

— Nie znajdą! Oj dziecie! ty jeszcze na świecie nie byłaś — pamiętam, gdy pierwszy raz wpadli, umieli oni szukać, i w głębi ziemi, ani po lasach ukryć się nie można, a na ich litość, tych serc pogańskich, nie rachuj, mordować to ich zabawa! — Nie czekaj, nie zwlekaj, zrób co mówiłem, do miasta nie jest daleko, mnie zostaw.

— Nie ojcze, ja ciebie nie opuszczę! mam w Bogu nadzieję. — Miałam sen dziwny wczorajszego ran-

ka: byłam z tobą na dzikiém bezdrożu, noc była ciemna, grudniowa, ni gwiazdy żadnéj, ni księżyca — w około okropne słychać było ryki — drżałam i płacząc modliłam się do Maryi, co cudami w Tyńcu słynie, i tyś się modlił ojcze — a z góry światłość nagle zajaśniała i zeszła Boska dziewica, ręką wskazała nam drogę i rzekła: — idźcie! — Myśmy poszli, a przed nami szedł anioł; wkoło nas straszniejsze słychać było ryki i wycia, i ognie błyskały, a szliśmy śmiało, i ja i ty mój ojcze..... W tém anioł, co drogę nam torował, stanął w progu téj chaty i myśmy weszli. — A od dnia owego, ja com tak drżała na imię Tatarów, że ty mi ojcze napróżno wlewałeś odwagę, ja się nie lękam, tylko się modlę do Matki Najświętszéj co w Tyńcu cudami słynie.

— Ja ofiaruję wotum szczerozłote i świec jarzących wiele, jeżeli wyjdziemy cało z tego nieszczęścia, a jeżeli żyć będę, zajdę na klęczkach od téj chaty progu aż do wielkiego ółtarza, i tam mszy sto na cześć Maryi zakupię. — Teraz się módlmy, może nas wybawi.

I cicha modlitwa wybiegła ku niebu, sercom zbolałym ulżyła, i mgła, co umysł zaciemniała, zbiegła się we łzy, które jak ofiarne krople spadły na ziemię. I tak chwil kilka milczeli — oj! bo strasznie było obojgu. Gdyby sprosny Tatar znalazł oboje, cóżby ich czekało? starca śmierć straszna w długich męczarniach, co w ciele serce i umysł wysuszą i mózg rozerwą — a dziewczynę? — uścisk i miłość bydlęca, zmuszona, straszniejsza nad śmierć.

Już lat 40 minęło, jak słyszał Kraków wycie Tatarów, a jeszcze to wycie drzeniem przejmuje tych, co go wówczas zasłyszeć mogli. Nikt w czystém polu ostać im się nie waży, choćby zbroją ciężką pokryty; potrzeba tylko, lub za murem czekać i mężnie odeprzeć, lub w las uciekać, co ciemnym wiankiem naokół miasto otacza i lasem spieszyć w kraje, co szczęśliwsze, téj plagi nie znają. I miasto blisko i w mury swe wzywa — i las niedaleko na górach się czerni, a Jan Lis z córką czekać musi, póki nóż Tatara zimną klingą nie zmrozi krwi jego; słabość go trzyma na łożu i ręką żelazną przyciska, a krewni, a przyjaciele, nikt o nim nie pamiętał, bo chory w ucieczce zawadza. A gdy powrócą i martwe ciało zobaczą, będą łzy ronić, ręce łamać, ale go nie ocucą!

III.

— Niech będzie Chrystus pochwalony! — Wstajcie Janie, żywo! łódź czeka, żywo! bo zamkną bramę miasta! — Nie zapomniałem o was, o nie, jak mi Bóg miły, ale nie mógłem wcześniéj, Bóg widzi! — Nie gniewajcie się, ale spieszcie! spieszcie! bo Tatarzy już niedaleko, już widzieliśmy łunę co odbiła się na niebie, a jak bramy zamkną, przyjdzie zginąć!

— Ach! to ty Janku; Bóg nam zesłał wybawiciela! nadzieja nasza nie była próżna. Nagrodzi ci Bóg, żeś o starcu nie zapomniał! Pomożcie mi podnieść się, prowadźcie do łodzi, zabierzcie tylko to trochę co kosztowniejszych rzeczy, bo jeżeli wrócimy, ani śladu chałupy naszéj nie zastaniem.

Był to ten sam Janek, co chciał Marysię za żonę; nie rozwodził się długo, pomógł ojcu wsiąść w łódź — do Marysi jeszcze ani słowa nie przemówił, ani ona do niego. Jéj nie pozwalało wrodzone uczucie, on działając, nie mógł tego czynić — a jednak dla niéj tylko przybył, wystawił się na wszystko, byle ją ocalić! Wówczas była miłość, ale miłość inna, nie lekka, w wzdychaniach, ale twarda jak kamień, ostra jak życie tych, co żyli wówczas!....

Chata wyprzątnięta, dla Tatara zostało się tylko czém ogień podniecić. — I łódź szparko szybuje po Wiśle ku zamkowi, dwa wiosła popychają ją hyżym, rączym biegiem. Spiesznie, spiesznie przybywa do zamku, stawa u furty.

— Puszczaj żołnierzu! puszczaj nieszczęśliwych, co się przed wrogiem schronić nie zdołali.

— Precz! — odburknął żołdak, którego przez otwór furty twarz widno — tu już nikt nie wejdzie, starosta zabronił, żywności nam przybraknie, a choć miasto wezmą, my bronić musimy co król nam oddalając się powierzył.

— Chcesz darów żołnierzu? będziesz ich mieć dosyć, tylko puszczaj żywo.

— Darów mi nie trzeba, do zamku nie puszczę, ruszajcie do miasta, niech was tam przyjmą.

— Takiż to brat z ciebie? pamiętaj, Bóg cię ciężko skarze!

— Mów co chcesz — ale nie wejdziecie; precz od furty! bo puszczę strzałę szparszą od tatarskiéj, co krwi serdecznéj utoczy.....

Tak mówił żołdak; bojaźń pozbawiła go litości, nawet na chęć zysku zrobiła nieczułym.

— Spieszmy do bram miasta, może nie zamknięte.

— I co tylko mogą z łodzi zabierają i ku miastu dążą. — U bramy Grodzkiéj tłum ubóstwa siedzi, żebrze aby ich puszczono. — Na murze kamiennym, nad bramą dębową, mąż przy mężu, żołnierz przy żołnierzu, po dwóch ich przy sobie — nad bramą najwięcéj, w fossie woda pluska — w basztach nakręcają kusze i rychtują na drogę; mostém zasłonięta brama, łańcuchy ciężkie go dzierżą, baszt dwie gru-

bych, ciężkich, z obu stron bramy pod opieką go trzymają. — A bramskie okienko do połowy otwarte, a z okna głos słychać:

— Uciekajcie ludzie! — tutaj śmierć wam pewna! Do miasta nie puścim; Tatarzyn nadbiegnie, mordować będzie — w lasach bezpieczniéj!

— Litości panie! spuśćcie most, bronę podnieście! — i gdzie nam z starcami, gdzie nam z dziećmi uciekać po lasach?

Głos z okna odrzekł; — Tatarzyn już blisko, jeśli most spuścimy, kto wie, może z wami w miasto wpadnie.

Próżne były wszystkie błagania, i gromada cała rozbiegła się, starców i chorych pod bramą na pastwę wrogowi rzucając. Bojaźń litość w nich zabiła!....

Janek to słyszał i widział; serce zimno mu przeszyło, żal oczy zamroczył.

— Gdzie się udać? co począć? ze starym nie uciekniemy, Tatarzyn zgoni; tutaj zostać, wnet przyjdą i także zabiją!....

Pod bramą w przedmieściu osowiały klasztor siedzi, murem grubym obwiedziony, poczerniały, z czterema basztami na rogach; mury jego od lat czterdziestu jakby żałobą powleczone — pamiątka owego spalenia Krakowa podczas napadu z r. 1240. Tam się kazał stary włóczek prowadzić. — Tam lud mnogi i zbrojny, wiankiem stalistym obsiadł baszty i mur wysoki — lecz fossy tam nie ma, ni mostów zwodzonych, i przystęp łatwiejszy. I prośba nie próżno ku murom pobiegła — już furta otwarta, z nią nadzieja ocalenia — sercu lżéj i lepiéj: jak gdy tonący powietrza zachwyci, i to mu życie odnowi co gasnąć zaczynało.

Stary Jan wszedłszy, zatrzymał się, zdziwił; nie poznał klasztoru, w którym był tyle razy. Kiedyś tu głosy pobożnych lub dym kadzideł wznosiły się ku niebu, dzisiaj gwar rotnych, szczęk miecza, łysk puklerza, dym ognisk przy których żywność gotują, lub warzą smołę i oléj, co kipiącym warem ma oblewać karki nieprzyjacioł. — W środku dziedzińca mąż w pełnéj zbroicy na piersiach; jego kirys stalowy podobny do wód Wisły w pogodzie — na głowie szyszak złocisty, iskrzy się jak słońca promienie — na ciele blachy stalowe, rzemieniem spięte — to Spytek z Zasławic. — On w klasztorze dowodzi:

— Starzy i kobiety tam (i wskazał ręką na lewą stronę dziedzińca) — młody na mur, niech się puklerzem przysłoni, miecz weźmie i dzidę, i prosto na mury do zachodniéj baszty! — zaraz bez zwłoki!

Janek nie dziecko, zbroja mu nie obca, schwycił, przywdział, popatrzał tylko jak Marysia w głąb klasztoru weszła — i skoczył na mury, stanął na baszcie, oko wytężył, bo widział jak coś na drodze mignęło.

(Dokończenie nastąpi.)

Dziewica z Dom-Remy.

przez *Karóla Libelta.*

(Ciąg dalszy.)

Dziś jeszcze pokazują domek drewniany w Dom-Remy, nad którego drzwiami sklepionemi widać z kamienia wyciosaną klęczącą osobę w zbroi z długim włosem. Mało już z tego wyobrażenia rozeznać, ma ono przedstawiać dziewicę. Ale utrzymały się jeszcze trzy herby, które tam snać późniejsi królowie francuscy położyć kazali. Środkowy jest herb korony francuskiéj: trzy lilie, po obu stronach herby d'Arków familijne, po wyniesieniu Joanny i jéj rodziny do stanu rycerskiego, z lewéj strony widać na herbie wśród dwóch lilii miecz, na którego końcu jest korona. Był to herb familii Dulys, idącéj z braci Joanny. Z prawéj strony jest herb saméj Joanny, przedstawiający gwiazdę między trzema żelazami płużnemi. Domek ten, nad którym każdy podróżny zatrzymuje się, był miejscem urodzenia Joanny. Ojciec jéj Jakób Darc był rólnikiem w tém siele, matka zwała się Izabella Rzymianka (Romée), tak zwykle mianowano osoby które odbyły pielgrzymkę do Rzymu. Z pięciorga dzieci, pozostało ich troje rodzeństwa, Joanna była najmłodsza. Starszy brat zwał się Jakób, drugi Piotr. Bracia zwykle wychodzili z ojcem w pole na robotę, albo pasali bydło, ona zostawała przy matce, zajęta szyciem lub przędzeniem. Nie umiała pisać ani czytać, ale obdarzona szczególną pamięcią i żywą wyobraźnią wiedziała wiele z posłuchu. Pamiętała, czego nauczano z ambony, co powiadali starzy i mędrsi, co słyszała na wieczorynkach; a wszystko zamieniało się u niéj w żywą strawę ducha.

Świadkowie, którzy o jéj życiu zeznawali, dają jéj świadectwo nader bogobojnego i cnotliwego życia. Haumette, przyjaciółka od pierwszych jéj lat dziecinnych, o trzy lata od niéj młodsza, powiada: „wielekroć bywałam w domu jéj ojca, sypiałyśmy obie z sobą jako przyjaciółki. Było to dobre dziewczę, naturalne i miłe. Chodziła chętnie do kościoła i do miejsc cudownych. Przędła, pracowała, jak inne dziewczęta. Spowiadała się często. Rumieniła się,

gdy jéj mówiono, że się zbyt modli i że tak często chodzi do kościoła.“ Pewien wyrobnik zeznaje, że nawiedzała i opatrywała chorych, i dawała jałmużny, „mnie samego — powiada — doglądała w chorobie.“

Lubiono ją powszechnie i kochano dla tych uczynków miłosiernych, ale nikt nie domyśliwał się, co się w jéj duszy działo, że tam osobne było życie ducha, marzące, dumające, czujące się w styczności z niebem. To życie wewnętrzne rozwijało się kosztem życia zewnętrznego. Wzrastała w lata, i ciało rozkwitało wdziękami, ale umysł pozostał w dziecinnéj niewinności, płciowość nie dojrzewała, i nie znała nigdy chorób, w tym wieku kobietom właściwych. Snać pod przewagą jéj duchowych kontemplacyi tłumiona była krewkość fizyczna i rozmódz się nie mogła.

Rozdźwięk dzwonu dziwne, czarujące na niéj zrobił wrażenie. Każde uderzenie metalicznego serca ododbijało się w jéj piersi tkliwéj, i niepojęte tam ocucało uczucia, które z słabiejącym w powietrzu jękiem śpiżu rozrzewniały się. Ogród jéj ojca przytykał tuż do kościoła, tam biegła na głos dzwonów, aby nasłuchać się tych tonów przeciągłych, niezrozumiałych, a jednak duszę przejmujących; tych brzmień nadpowietrznych niby pogłaszań aniołów stróżów, aby duch nasz czuwał i podnosił się modlitwą do Boga — biegła, aby się ich nasłuchać, duszę im swoję otworzyć i marzyć.

Cudną prostotą stylu opisuje Michelet jéj widzenia i jéj pierwsze wystąpienie, czerpiąc dowody ze źródeł historycznych. Przytaczamy tę jego opowiedź.

„Było to latem, w dzień postu, w samo południe. Joanna była w ogrodzie i widziała od strony kościoła, do którego ogród dopierał, jasność wielką i słyszała głos: — Joanno, bądź cnotliwą i roztropną, a chodź często do kościoła — i wielka trwoga ją objęła.“

„Inną razą słyszała ten sam głos, widziała jasność, a w téj jasności świetne postacie, z których jedna miała skrzydła i wydawała się mężem poważnego oblicza, który rzekł do niéj: — Joanno, pójdziesz dać pomoc królowi Francyi i wrócisz mu królestwo jego. — Ona drżała i odrzekła: — Panie, ubogą jestem dziewczyną, jakże mnie zawodzić koniem i prowadzić ludzi zbrojnych? — Głos jéj odpowiedział: — Udaj się do pana Baudricourt, komendanta we Vaucouleurs, a on cię każe zawieść do króla. Św. Katarzyna i św. Małgorzata będą przy tobie. — Joanna stała we łzach i osłupieniu, jak gdyby widziała już przed sobą przeznaczenie swoje.“

„Ów mąż poważnego oblicza był to święty Michał, groźny archanioł wojen i sądów bożych. Objawił jéj się raz jeszcze i pocieszał, i opowiadał jéj, jaka jest nędza w królestwie Francyi. Potém pokazywały jéj się białe postacie świętych w niezmierzoności świateł; głowy ich były opromienione koronami, a głosy ich słodkie i aż do łez rozczulające. Ale Joanna płakała najbardziéj wtenczas, kiedy ją święci i aniołowie opuszczali.“ — Byłabym wolała — powiada — aby mnie byli ze sobą zabrali.

„Płacz jéj wśród tak wielkiego ubłogosławienia nie był bez przyczyny. Urocze i świetne były jéj widzenia, ale życie jéj odtąd zmieniło się. Dotąd obijał się o jéj uszy jedynie miły głos matki, którego słuchała jako posłuszna córka, a teraz w jéj duszę wstępował uroczysty głos aniołów, który jéj rozkazywał opuścić to lube ustronie domowe, a w niém milszą jeszcze macież; rozkazywał jéj, dziewczęciu trwożliwemu, iść w pośród mężów, przemawiać do nich i do żołnierzy. Miała pójść w świat i na boje, i porzucić ten mały rodzicielski ogródek, ocieniony murami kościoła, gdzie przysłuchiwała się dzwonieniu, i gdzie ptastwo jadło z jéj dłoni; bo taki był pokój, taka słodycz i cisza jéj oblicza, że nie strachało się przed nią ni ptastwo, ni zwierz płochy i zbliżało się do niéj, jak w onych czasach rajskich, gdy jeszcze pokój boży spoczywał na ziemi.“

„Joanna nie powiedziała nam bliższych szczegółów owéj pierwszéj walki jéj ducha, ale musiała to być walka straszliwa i długa, bo od pierwszego jéj widzenia aż do wyjścia z domu rodzicielskiego upłynęło pięć lat całych.“

„Dwie wielkie powagi, boska i rodzicielska, stanęły z sobą w sporze; jedna rozkazywała, aby porzuciła dom i szła wyzwolić królestwo; druga zalecała, aby nie wychodziła z zacisza domowego i pozostała w skromności i pracy. Anioł ją wzywał do boju, a ojciec jéj, uczciwy, ale prosty włościanin, przysiągł, że wprzódy ją utopi, niżeli pozwoli, aby poszła z żołnierzami. Kogo tu słuchać, a komu być nieposłusznym? Była to straszna walka wewnętrzna, w porównaniu z którą orężna walka z Anglikami była tylko igraszką.“

„W rodzinie swojéj nietylko trafiała na opór, ale i na pokuszenie. Chciano ją gwałtem ożenić, w nadziei, że ją to ustatkuje i na inne myśli naprowadzi. Znalazł się młody jeden człowiek we wsi, który utrzymywał, że Joanna kiedyś przyrzekła mu pójść za niego, a gdy ta przeczyła temu, zaskarżył ją do sądu konsystorskiego w Toul*). Rozumiano, że się nie

*) Dom-Remy położone na pograniczu Francyi, należało do archidyecezyi Trewirskiéj w Niemczech, w któréj było biskupstwo Tulskie.

będzie śmiała bronić, i że zaocznym wyrokiem pozwoli wskazać na śluby. Ale na zdumienie wszystkich zabrała się w drogę do Toul, stanęła przed sądem i śmiało broniła sprawy swojéj — ona, co dawniéj zwykła tylko była milczeć.“

„Aby się wyłamać z pod powagi rodzicielskiéj, trzeba jéj było koniecznie kogoś z familii, coby jéj uwierzył i wziął pod opiekę. Udało jéj się, acz z trudnością, nawrócić wuja, który się podjął téj missyi*). Wziął ją do swego domu pod pozorem doglądania choréj w połogu żony. Dał się namówić i poszedł sam do pana Baudricourt, komendanta we Vaucouleurs, aby dla niéj żądać pomocy. Lecz rubaszny rycerz nie najlepiéj przyjął wieśniaka, kazał mu dziewczynę wypoliczkować i odprowadzić do ojca. Nie dała się tém odstraszyć Joanna, wybierała się sama w drogę i wuj musiał jéj towarzyszyć. Była to chwila dla niéj stanowcza, opuszczała na zawsze wieś i rodzinę. Ściskała czule młode przyjaciółki swoje, żegnając się na zawsze z niemi, tylko z Haumette, którą najwięcéj kochała, nie miała odwagi pożegnać się.“

„Przybyła wreszcie do Vaucouleurs w wieśniaczych grubych, czerwonych sukniach i poszła wraz z wujem w gościnę do żony pewnego stelmacha, która ją mile przyjęła. Stawiona nazajutrz przed komendanta, odezwała się głosem śmiałym i stanowczym: że przybywa do niego z rozkazu Boga, aby dał znać królewiczowi, żeby się trzymał i nie wdawał w bitwę z nieprzyjacielem, albowiem w połowie postu Bóg zeszle mu pomoc; że to królestwo nie należy do królewicza, ale do Boga, ale że Bóg chce, aby on je z rąk jego posiadał i został królem. Dodała nareszcie, że mimo tylu nieprzyjacioł królewicz zostanie królem i że ona go poprowadzi, aby był namaszczon i koronowan.“

„Komendant nie pomału zdziwiony, myślał, że to czart swoje figle stroi i radził się proboszcza. Ksiądz snać tak samo domyśliwał się. Przybył z komendantem do mieszkania stelmaszki, uzbroił się w stółę i zaklinał dziewczynę, aby się niezwłocznie oddaliła, jeżeli ją tu zły duch przyprowadził.“

„Nie miał tych skrupułów lud i raczéj podziwiał Joannę. Zewsząd się zbiegano, aby ją zobaczyć. — Ktoś z rycerskiego stanu**) rzekł do niéj, aby ją doświadczyć. „Jakże, moja przyjaciółko, podobno przyjdzie do tego, że króla wypędzą, a my zostaniem Anglikami?“ Ona zaś żaląc się przed nim, że jéj Baudricourt odmówił pomocy, dodała w proroczém uniesieniu ducha: „a jednak nim pół postu minie, trzeba, abym stanęła przed królem i choćby mi przyszło zawlec się na kolanach do niego. Bo nikt w świecie, ani królowie, ani książęta, ani córa króla szkockiego, nie potrafią nazad odzyskać; ja jedna tylko pomoc mu przynieść mogę, chociaż wolałabym raczéj zostać w domu przy kądzieli i przy biednéj matce mojéj, bo nie mnie to podejmować sprawy takie: ale trzeba żebym poszła i działała, gdyż taka jest wola Pana mego.“ — „A któż to jest panem twoim?“ — „Bóg.“ — Serce rycerza zmiękło i rzekł podając jéj dłoń swoję, że ją za pomocą Boga zaprowadzi do króla. Inny młodzian rycerski*) podobnie tknięty poświęceniem dziewicy, ofiarował się także towarzyszyć jéj w drodze.“

„Zdaje się, że Baudricourt wysłał wprzódy z zapytaniem do króla, a tymczasem posłał ją do księcia Lotaryngskiego, który złożony chorobą, chciał zasięgnąć jéj rady. Joanna radziła mu pojednać się z żoną i tém przebłagać gniew boży. Wszakże książę utwierdzał ją w jéj przedsięwzięciu.“

„Za powrotem do Vaucouleurs zastała posłańca królewskiego, który jéj przywiózł pozwolenie stawienia się na dworze. Smutny stan rzeczy po owéj porażce śledziowéj nakazywał nie odrzucać żadnych środków. Joanna mówiła o téj klęsce w tym samym dniu w którym zaszła. Mieszkańce z Vaucouleurs nie wątpili więcéj o jéj posłannictwie, złożyli się dla niéj na uzbrojenia i konia. Komendant podarował miecz.“

„Lecz była jeszcze jedna trudność do przełamania. Rodzice dowiedziawszy się o jéj bliskim odjeździe, prawie odchodzili od zmysłów, i użyli wszelkich środków, aby ją od téj podroży odwieść: rozkazywali, grozili. Naprożno. Joanna wytrzymała tę ostatnią próbę, kazała im napisać, że ich błaga, aby jéj przebaczyli.“

„Była to przykra i niebezpieczna podróż. Żołnierstwo dwóch stron wojujących włóczyło się wszędzie po kraju. Drogi były zepsute, mosty zniesione, rzeki wylały. Było to w Lutym 1429. r.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

— Pewien młody poeta w Paryżu wynalazł nową metodę wyuczenia dzieci czytania, przez co płacz i męki ze szkółek zostaną na wieki wygnane. Według téj metody nawet dzieci ograniczone mogą się nauczyć

---

*) Nazwisko jego było **Durand Laxart** i mieszkał na drodze z Dom-Remy do Vaucouleurs (Goerres).

**) Podług Goerresa był to znakomity szlachcic Jan Novelompont zwany de Metz.

*) Podług tegoż: Bertrand Poulengy.

czytać w przeciągu sześciu godzin. — Cóż poczną odtąd nauczyciele? — zapytał minister Salvandy poetę.

— Francuski jeden badacz natury wyrachował siłę nieźmierną wulkanów, n. p. Etny, która, jeżeli porównamy siłę jéj z machiną parową, siły 400 koni, potrzebuje do wysadzenia na swą powierzchnią lawy 53,262,500 machin takich parowych, machinę licząc po 400 koni, czyli 21 miliardów koni.

— Professor chemii Highschool przybył z Ameryki z mnóstwem fotograficznych obrazów do Londynu, które tam pokazuje. Przed innemi odznacza się spadek Niagary, tak zgodny z naturą, że lepszego niemasz pomiędzy obrazami. Obraz oddaje żywą naturę, jak powiada pewien znawca. Obrazy te mają naturalne kolory, nadane przez grę światła słonecznego. Jest to tajemnica, którą ten profesor posiada i odróżnia się zupełnie od kolorytu sztucznego.

— Zegarek w podróży bardzo jest potrzebny. Nie miłą przecie jest rzeczą, kiedy się zgubi od niego kluczyk. Temu zapobiegając, wynalazł wychodzca polski Patek, mający najsławniejszą fabrykę zegarków w Genewie, nowy sposób naciągania i nastawiania zegarków bez kluczyka, zapomocą rączki znajdującéj się u zegarka, którą się w lewo w prawo według potrzeby porusza, a można to podczas podróży w nocy z całą dokładnością uskutecznić.

MODY.

Paryż, dnia 13. Lipca 1847.

Lekkie tkaniny ustąpić musiały w przeszłym tygodniu na chwilę szlafroczkom kitajkowym w jasnych lub ciemnych kolorach z powodu powietrza. Z téj samej przyczyny pojawiły się mantylle z kitajek i opończe. Opończa tak się konieczną stała w modach latowych, jak płaszcze zimową porą, a bardzo wiele jest jednak brzydkich opończy.

Opończa wtenczas jest piękną, kiedy jest prostego kroju, tylko wystrój powinien być mniéj więcéj elegancki. Gdzie opończe są konieczną potrzebą, n. p. u wód morskich, tam je podszywają marselinem, a czasem nieco waty wkładają. Falbany w zęby u opończy w jasnych kolorach bardzo pięknie wyglądają. Falbany atoli koronkowe pozostaną zawsze najpiękniejsze. Zwyczajnie oszywają dwiema falbanami, z których pierwsza jest szerszą niż druga, a czasem i trzema falbanami, ale wówczas mniéj są szerokie. Nad falbanami wije się robota szmuklerska.

Cośmy powiedzieli o wystrojeniu opończy, zupełnie się téż ściąga do mantyl kitajkowych, które także zdobią zębiastemi lub w pasamony oszyte falbany, nieskręcanemi fręzlami, haftami lub koronkami. Widzimy n. p. długo-szalowe mantylle z krepy z wystrojem koronkowym i podobne do tych z kitajki czarnéj, białéj, pilśniowéj, różowéj, niebieskiéj, orzucone lekką nieskręcaną fręzlą, najwięcéj zaś odznaczają się elegancją bez wątpienia z krepy niebieskiéj lub fiołkowéj z czarnemi koronkami.

Suknie z bareżu lub jedwabnego grenadine muślinu mają prawie wszystkie wysokie staniki fałdowane, otwarte w kształt serca. Ponieważ te suknie osadzają falbanami, przeto téż u wykroju stanikowego znajduje się małe ufałdowanie lub maleńka falbana. Rękawy u dołu są na pół długie, a pod wiązadłem ściągane we fałdy lub otwarte i drobno ugarnirowane jak stanik. W ostatnim przypadku potrzeba do nich podrękawów tulowych lub z cienkiego muślinu, które się zamykają na wiązadło haftowane lub z wązkiéj koronki.

Suknie jedwabne podobne robią, z tą jednak różnicą, że staniki częściéj są gładkie niż sfałdowane. Szlafroczki przeciwnie mają gładkie i wysoko zachodzące staniki. Tymczasem starają się i podczas tegorocznego lata, aby moda z otwartemi stanikami zaprowadzoną została do szlafroczków, przez co dają dowód wielkiego smaku i elegancyi, ponieważ z pod otwartych staników widać pięknie haftowane chusteczki, żaboty koronkowe, otwarte rękawki i podrękawki. Dwa widzieliśmy w przeszłym tygodniu szlafroczki, z tych jeden z srebrzystéj kitajki miał gładki, z przodu otwarty stanik, z guziczkami oszytemi w jedwabny sznurek, u których były kutasiki srebrne. Drugi zaś był z białéj kitajki, z wysokim stanikiem, z przodu orzucony kokardkami z wstążek i z podobnemi srebrnemi kutasikami:

Objaśnienie ryciny.

1. Frak spencerowy z sukna. Biały krawat. Kamizelka szkocka.
2. Kapelusz jedwabny, orzucony kwiatami. Suknia jedwabna bez oszycia. Opończa jedwabna koronkami oszyta.
3. Kapelusz krepowy. Szlafroczek jedwabny sznurkiem oszyty.

Redaktor *N. Kamieński*. Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki*.